

**Wilm Hosenfeld: „Staram się ratować każdego”. Życie niemieckiego oficera w listach i dziennikach** (tłumaczyli Janusz, Wanda, Marta, Paulina i Adam Tycnerowie, red. naukowa Eugeniusz Cezary Król i Winfried Lipscher), Oficyna Wydawnicza Rytm, Warszawa 2007, s. 977.

Listy i dzienniki Wilma Hosenfelda to teksty, które zainteresować powinny nie tylko historyka czy politologa, ale również etyka i psychologa. W recenzjach i komentarzach, także związanych ze wspomnieniami Władysława Szpilmana oraz powstałym na ich podstawie filmem Romana Polańskiego zwracano głównie uwagę na moralny wymiar postawy Hosenfelda oraz tragizm jego osobistych losów, zakończonych śmiercią w radzieckim łagrze. Warto jednak spojrzeć bardziej wszechstronnie na zarejestrowaną w listach i dziennikach osobowość ich autora, a poprzez nią także na ludzkie postawy w państwach totalitarnych.

Tym, co przebija z zapisów w przedwojennych dziennikach Hosenfelda (i zauważone zostało też przez autora jego obszernego życiorysu, Thomasa Vogla), to niedostrzegany przez niego samego konflikt systemów wartości. Z jednej strony Hosenfeld to gorąco wierzący katolik, który akceptuje wymogi Dekalogu i ich humanistyczną interpretację. Z drugiej strony to Niemiec, zafascynowany potrzebą służby swemu narodowi, który przez ten pryzmat ocenia narodowy socjalizm. Kiedy we wrześniu 1936 roku bierze udział w wielkim zjeździe partyjnym, Reichsparteitag NSDAP, notuje: „Znów ogarnia mnie uczucie przynależności do wielkiej wspólnoty, z którą maszerujemy. Jest jak na wojnie” (s. 212). W listopadzie 1936 roku Hosenfeld pisze: „Troska o rasę

i jej pielęgnowanie z pewnością spotka się z najpełniejszą aprobatą”. Dodaje jednak: „Przede wszystkim troska o naszą rasę, ale również należy uznać wielkie umysły innych narodów i innych ras” (s. 215).

Pozostając członkiem NSDAP i SA, w maju 1937 roku w swoim dzienniku Hosenfeld buntuje się przeciw jego zdaniem wrogiej Kościołowi katolickiemu polityce narodowych socjalistów. „Partia posługuje się kłamstwem, oszczerstwem, przekręca fakty, a gdzie to nie wystarcza stosuje terror”. Dodaje jednak, usprawiedliwiając swe posłuszeństwo: „Co to da jednostce, jeśli pójdzie pod prąd” (s. 221).

Czy to konformizm? Na pewno też, ale bardziej jeszcze konfuzja wartości. We wrześniu tego samego roku Hosenfeld notuje: „W kościele słowo pasterskie na uroczystość na cześć żyjących zagranicą Niemców-katolików. W końcu i Kościół działa w niemiecko-katolickim duchu” (s. 222). Tydzień później kończy swe przemówienie, przygotowane na Dzień Niemczyzny: „A teraz przyłączcie się do okrzyku: Na cześć naszego wielkiego niemieckiego narodu w Rzeszy i za granicą i na cześć naszego Führera, który ten naród zjednoczył, trzykrotne Sieg Heil” (s. 225).

Hosenfeld z entuzjazmem przyjął Anschluss Austrii do Rzeszy. Już jednak w związku z kryzysem sudeckim budzi się w nim niepokój. „Człowiek zaczyna sobie uświadamiać wielkie niebezpieczeństwo, jakie kryje w sobie dyktatura w czystej postaci ustrojowej. Co przeszkodzi Hitlerowi, jeśli pozostanie nieustępliwy, wtrącić naród niemiecki w wojnę? Referendum? To są wielkie słowa, w rzeczywistości narodu o nic się nie pyta. Zupełnie inna jest demokracja z parlamentem” (s. 238). W listopadzie 1938 roku, po nocy kryształowej dostrzega wreszcie inny problem: „Pogromy Żydów w całych Niemczech. Straszne rzeczy dzieją się w Rzeszy, bezprawie i nieporządek, a przy tym na zewnątrz obłuda i kłamstwo” (s. 240).

Czy jest to już przewyciężenie konfliktu systemów wartości? Znowó odpowiedź musi być negatywna. Powołany w końcu sierpnia 1939 roku do wojska, Hosenfeld pisze w liście do syna 1 września: „Muszą ustać wszelkie wewnętrzne spory światopoglądowe, każdy musi być Niemcem i stać murem za swoim narodem... My, mężczyźni i kobiety narodu niemieckiego, musimy znosić ten los godnie i wytrwale, niezależnie od tego, czego będzie od nas wymagał” (s. 247).

We wrześniu 1939 roku Hosenfeld znalazł się w Polsce. 16 września pisze z Pabianic w liście do żony: „Żydom nie jest do śmiechu. Oburza mnie brutalne traktowanie ich” (s. 251). Podobnie formułuje to w liście do syna pod koniec miesiąca: „Część Żydów była strasznie traktowana” (s. 256). W liście do żony pisze o obozie jenieckim, który nadzoruje: „Myślę, że ludzie dostrzegają, że cierpię razem z nimi; gdzie tylko się pojawia, otaczają mnie i zasypują prośbami, na nikogo nie krzyczę i staram się pomagać jako mogę” (s. 253).

Pod koniec września Hosenfeld zapisuje swoje refleksje o polskich jeńcach: „To są ludzie. Ludzie inni niż ja. Ja sam, my Niemcy, musimy zapewne podążać innymi drogami! I rośnie we mnie równocześnie duma z tej odmienności. Ale w najgłębszym wymiarze naszego człowieczeństwa jesteśmy tacy sami, jak ci tutaj!” (s. 264).

Konflikt systemów wartości trwa jednak nadal. W tym samym liście do syna, w którym pisze o traktowaniu Żydów, daje wyraz nadziei na rychły zwycięski dla Niemiec pokój. „Jeszcze nigdy żaden niemiecki mąż stanu nie odgrywał większej roli od tej, którą dziś odgrywa Führer. Pomyśl tylko, jeśli Führer wykorzysta po wojnie siłę całego narodu niemieckiego, która dziś zaangażowana jest w wojnę, do zaprowadzenia pokoju, a pokojowe dzieła będą tworzone z taką samą stanowczością, z jaką teraz prowadzona jest wojna, to jak wielka, szczęśliwa przyszłość rysuje się przed nami... I ta cała spotęgowana siła wielkiego narodu kierowana jest przez najbardziej bezinteresownego męża stanu na świecie, na jeden cel: pokój, dobrobyt, szczęście i kulturę” (s. 257).

To już nie tylko antagonizm systemów wartości i na pewno nie zwykły konformizm. To daleko posunięta indoktrynacja, którą wzmacnia poczucie niemieckiej siły po klęsce Polski: „Nie wierzę, że Francja przeciwstawi się sile uderzeniowej 4 państw, Niemiec, Włoch, Rosji, Hiszpanii. Anglia pozostanie osamotniona i – będzie musiała drogo zapłacić za tę wojnę” (s. 257).

Wydawać się może, że w listopadzie 1939 roku Hosenfeld dojrzał już, że wartości Dekalogu i narodowego socjalizmu nie da się pogodzić. Wstrząśnięty przemówieniem Hitlera, w którym zapowiedział on kontynuowanie wojny, dzieli się w liście do żony swymi refleksjami na temat stosunku okupantów do Polaków: „Fala aresztowań przetacza

się przez nieszczęsny kraj w wyniku donosów tutejszych niemieckich mieszkańców, aresztuje się i wywozi setki ludzi... Bezsilna wściekłość, paraliżujący strach krąży od domu do domu, w którym mieszka Polak z wyższych warstw społecznych. Wcale nie chodzi już o zemstę, to działanie nosi znamiona wyniszczania inteligencji, tak jak to robią Rosjanie... Jakże chętnie byłem żołnierzem, ale dzisiaj najchętniej podarłbym mundur na strzępy. Mamy trzymać tarczę, za którą dokonują się te ludobójstwa?" (s. 280).

W grudniu 1939 roku posuwa się w dzienniku jeszcze dalej: „Czy jesteście barbarzyńcami, jak nazywają nas w gazetach na całym świecie? My nimi nie jesteśmy, są nimi tylko ci, którzy mają obecnie władzę, niemiecki naród jako całość jest niewinny, oni nic o tym nie wiedzą. Nasz dobry, niemiecki naród oburzyłby się i zawstydził, gdyby dowiedział się, że przypisuje mu się taki sposób myślenia. A jednak wszyscy jesteśmy winni, nie, wszyscy zostaliśmy oszukani, okłamani i zdradzeni” (s. 293). Dostrzega też wreszcie, że „niezliczonych rodaków poddawano brutalnym prześladowaniom, traktowano ich niesprawiedliwie, ordynarnie ich poniżano tylko dlatego, że mieli inne poglądy niż naziści” (s. 295).

Sprzeczność systemów wartości istnieje mimo wszystko, wraz z marzeniem o wygraniu przez Niemcy wojny. W maju 1940 roku Hosenfeld pisze do rodziny: „Zaczęła się walka na Zachodzie. Miejmy nadzieję, że niedługo nastąpi rozstrzygnięcie na naszą korzyść. Wojna zakończy się najszybciej wtedy, kiedy będziemy mieli w garści holenderskie i belgijskie wybrzeże. A jednak zrobiła się z tego walka na śmierć i życie” (s. 332).

W liście do syna w tym samym miesiącu jest pełen entuzjazmu. „To, czego dokonał ostatnio niemiecki oręż, jest godne podziwu. Jeszcze kilka takich uderzeń i na jakiś czas wystarczy. Ale wydaje się, że nie będzie przerwy, dopóki nie padnie Paryż i nie zaatakujemy Londynu. Na Zachodzie będzie to kosztowało olbrzymie ofiary, ale one muszą zostać poniesione, inaczej to się nigdy nie skończy” (s. 335). Trudno oprzeć się wrażeniu, że wraz z niemieckimi sukcesami wojennymi następuje recydywa indoktrynacji. W liście do żony napisze wręcz: „Hitler to wielki geniusz” (s. 336).

W czerwcu Hosenfeld nadal tryska wojennym optymizmem: „Wojna może zostać rozstrzygnięta tylko za pomocą brutalnej siły. Anglicy sami się o to proszą. Nie, za 4 tygodnie nie będzie pokoju, ale główne uderzenie na Anglię osiągnie swój cel” (s. 348). Oczekiwanie uderzenia na Wielką Brytanię trwa jeszcze w następnych tygodniach.

W sierpniu 1940 roku Hosenfeld w liście do teścia jakby łagodził swą wcześniejszą dramatyczną ocenę niemieckich działań w Polsce. Być może dostosowywał się do poglądów adresata. „Moim zdaniem Niemcy za bardzo pozują na panów; nie chcą żadnego porozumienia, Polak ma być tylko parobkiem, jak swego czasu oficjalnie sformułowano. To przecież w ogóle nie pasuje do idei narodowego socjalizmu, który chce rzekomo zapewnić każdemu narodowi własną wolną przestrzeń. Naturalnie walczymy także o nasze przetrwanie i musimy twardo i nieugięcie stawiać czoło losowi, ale Polska została już rzucona na kolana i więcej nam nie zaszkodzi. Uważam, że wspaniałomyślnością można by osiągnąć dużo, dużo więcej” (s. 360).

Wydaje się jednak, że Hosenfelda rzeczywiście zafascynowały znów niemieckie sukcesy wojenne i zmienił swą ocenę reżymu narodowo-socjalistycznego. We wrześniu 1940 roku pisze do żony: „Masz zupełną rację, jeśli chodzi o te głupie, tendencyjne filmy, ale propaganda ich potrzebuje. »Goebbels jest wart całego korpusu wojska«, powiedział ostatnio jeden z wyższych oficerów. Tu chodzi o być albo nie być! Anglicy prowadzą wojnę za pomocą frazesów, my im odpowiadamy frazesami. Propaganda pochłania ogromne sumy, ale to się opłaca” (s. 379).

Całkowite zmieszanie dwóch, w istocie rzeczy przeciwstawnych systemów wartości występuje w liście Hosenfelda do zaprzyjaźnionego oficera z września 1940 roku. Z jednej strony pisze on: „Ta walka w ogromnym wymiarze konfrontuje Europę z nowymi ideami narodowosocjalistycznych Niemiec. Czy jesteśmy za mali na wielkie myśli Führera?... Albo Europa wyłoni się niebawem jako nowy niemiecki twór, albo wszystko utonie w nieszczęsnym chaosie. Napoleon próbował stworzyć francuską Europę, skutki odczuwaliśmy po nasze czasy, ale jego, sam w sobie wspaniały, talent pozbawiony był konstruktywnej idei takiego geniusza jak Adolf Hitler... Nie mam wątpliwości, że Anglia, po jej niechybnym pokonaniu, także zostanie włączona w ten nowy niemiecki front”.

Jednocześnie ubolewa w związku z niemiecką polityką wobec Polaków: „Ale o ile łatwiej byłoby nam, żołnierzom, gdybyśmy mogli stać tu jako ambasadorzy niemieckiego ducha, a nie jako despci. Dlaczego nie odbudowuje się ruin, dlaczego nie przyznaje się Polakom gospodarczej i kulturalnej swobody, nie pozwala się im korzystać ze sprawiedliwości społecznej? Czyż musimy się jeszcze obawiać tego pokonanego narodu? Czy nadal musi on być brutalnie trzymany za gardło i nic poza tym? Czy nie został on wystarczająco ukarany za niemoc swego zaślepionego rządu?” (s. 384).

Ledwie trzy miesiące później Hosenfeld zapisuje „światny kawał”: „SS-man przyłapuje Żyda na kradzieży. Złapał Żyda, stłukł go i zagroził, że go zastrzeli. Żyd żebrze o życie, ale SS-man nie ma litości. Nagle mówi: »Dobrze, ujdiesz cało, jeśli zgadniesz. Mam szklane oko, powiedz, które to jest, prawe czy lewe?« Żyd przygląda mu się chwilę i mówi »lewe«. »Dobrze, ale po czym to poznajesz?« Żyd mówi: »O SS-Życie«, bo to lewe tak dobrotliwie na mnie patrzy” (s. 416). Nie świadczy ten zapis, by Hosenfeld miał jakiegokolwiek złudzenia co do SS-manów.

Nadal był jednak zafascynowany Hitlerem, choć już nie bezkrytycznie. W lutym 1941 roku po wysłuchaniu jego przemówienia zapisał w dzienniku: „Nie mogę pozbyć się wrażenia, że Führer jest zbyt zrozumiały i przedwcześnie dekoruje swoje skronie wieńcem laurowym. Zbyt niesprawiedliwie ocenia przeszłość i postacie historyczne, które w ówczesnych warunkach robiły, co było w ich mocy. Naród niemiecki tkwi teraz w kaftanie bezpieczeństwa, z którego nie może się uwolnić; tylko dlatego możliwa jest ta tak zwana powszechna jedność. Nie można dać się jednak zwieść i sądzić, że jest to jedność ideowa, a tym bardziej jedność, która powstała w naturalny sposób”. Konkluduje jednak: „Jedno jest wspańiałe, wiara w zwycięstwo, którą on zaraża tłumy. Też w nie wierzę” (s. 434).

W marcu pisze do syna i jest to właściwie najdalej posunięta akceptacja planów narodowosocjalistycznych, nawet jeżeli nie w pełni zdaje sobie sprawę z ich charakteru: „Po pierwsze bardzo mocno wierzę w to, że wygramy wojnę, i po drugie, że sprawy polityczne w Europie zostaną tak uporządkowane, iż nastąpi długi okres pokoju. Czytam »Mein

Kampf« A.H. To bardzo zaskakujące, gdy w czasie lektury stwierdza się, jakie plany, wyzwania i myśli urzeczywistnił Führer już dziś; można się też domyślać, co jeszcze nadejdzie, na przykład konflikt z rosyjskim systemem rządzenia, m.in. również ostateczne załatwienie kwestii żydowskiej w Europie. Po Hitlerze nie będzie już w Europie żadnego Żyda” (s. 438).

W kwietniu 1941 roku Hosenfeld prorokuje w liście do żony wybuch wojny ze Związkiem Radzieckim i zwycięstwo w niej oraz związanie z Niemcami Ukrainy oraz złóż ropy naftowej na Zakaukaziu. „Kiedy uświadamiam sobie, jak wielką, dalekowzroczną politykę prowadzi Führer, z jeszcze większą stanowczością wierzę, że taki będzie rozwój wydarzeń” (s. 449). Na dzień przed atakiem na Związek Radziecki, 21 czerwca 1941 roku, pisze w liście do żony: „Za 8 tygodni zamieszanie się skończy. Niemcy powinni być wtedy w Moskwie” (s. 483).

Dzień później notuje w dzienniku: „Musi dojść do radykalnego rozwiązania, które może się dokonać jedynie przy użyciu przemocy” (s. 484). Pisze jednocześnie list do syna: „Baza, na której zbudowana jest nasza pozycja w Europie, stanie się, dzięki włączeniu Rosji, dużo większa i bardziej stabilna... Poza tym powalenie Związku Radzieckiego stworzy możliwość gruntownego przebudowania terenów wschodnich” (s. 485).

W lipcu 1941 roku, podczas pobytu w Berlinie, Hosenfeld pisze do syna: „Miałem tu okazję porozmawiać z ludźmi z Ruchu [tj. NSDAP] i wysłuchać ich opinii, co do przyszłego kształtu Europy; po wojnie będzie istniało w Europie tylko jedno wielkie mocarstwo. Nie jest to w rzeczy samej nic nadzwyczajnego ani nowego. Napoleon też miał taką wizję przed oczami, ale my dysponujemy dziś całkiem inną potęgą i siłą uderzenia. Jakież zadania staną potem przed Niemcami i jakie pojawiają się możliwości” (s. 493). Marzeniem Hosenfelda pozostaje więc niemiecka Europa.

Rozdarcie systemów wartości stale jest jednak obecne. W maju 1941 roku, po obejrzeniu antybrytyjskiego filmu *Wujaszek Kruger* o wojnie burskiej Hosenfeld notuje: „Zadaję sobie tylko pytanie: czy mamy prawo robić taki film? Czy walka na wyniszczenie przeciw Polakom, nie mówiąc już o zwalczaniu Żydów, nie jest tym samym? Można powiedzieć,

że propaganda wojenna może wykorzystać wszystko, co jest w naszym interesie, nieważne – kłamstwo czy obłudę” (s. 459). We wrześniu zapisuje w dzienniku: „Jakże śmieszne są te wielkie słowa o nowym porządku w Europie i o pokoju, gdy we wszystkich podejmowanych działaniach przejawia się jedynie duch bezprawia i ucisku” (s. 515).

We wrześniu 1941 roku pisze do rodziny: „Kilka dni temu kupiłem sobie owoce w pobliżu hali targowej. Hala graniczy z gettem. U dołu wysokiego muru znajdują się małe przepusty wodne. Wynędział chłopak, prawdopodobnie Żyd, który wymknął się z getta, próbował przesznuć przez tę dziurę ziemniaki. Widziałem też wychudzone ręce z drugiej strony dziury, Długimi susami przybiegł polski policjant, rzucił chłopaka na ziemię i stłukł go. Pod obwisłym płaszczem chłopaka widziałem wychudzone, gołe nogi i przepętnioną strachem twarz dziecka. Naszła mnie myśl, gdyby to był mój Detlev, równie dobrze mógłby być to on. Najchętniej wysiadłbym i podarował chłopcu jabłka. Wstydziałem się, że należę do tych, którzy ponoszą winę za takie nieszczęście, albo je tolerują, nie niosąc pomocy” (s. 514).

Podczas krótkiego urlopu w domu Hosenfeld notuje w dzienniku: „Naszej młodzieży wybija się z głów najszlachetniejsze odruchy – miłości bliźniego i humanizmu, To, jak nisko upadliśmy, pokazuje przykład, o którym słyszałem w domu. Chodziło o to, że funkcjonariusz policji pomocniczej pobił do krwi polską dziewczynę z powodu drobnego przewinienia – nie miała »P« na bluzie, rzucił ją w gnój w stajni i maltretował. Chłop i jego żona pozwolili na to, mimo, że dziewczyna stanowi dla nich niezbędną pomoc i od dwóch lat bardzo porządnie pracuje” (s. 518).

Na początku listopada 1941 roku pojawia się w dzienniku Hosenfelda nowy motyw, pierwsza informacja o Endlösung. Żołnierz przybyły ze Związku Radzieckiego opowiada: „Straszne egzekucje Żydów napały go wstrętem. W Homlu zastrzelono 5000, również kobiety i dzieci. »To nie ma nic wspólnego z wojną« mówi”. Hosenfeld komentuje: „Robi to na mnie piorunujące wrażenie. Czy nie zemści się to kiedyś na nas i na naszych dzieciach?” (s. 523). W końcu tego miesiąca pisze jednak do syna, walczącego na froncie wschodnim: „Czy będziesz wśród tych, którzy wkroczą do Moskwy? To dopiero byłoby przeżycie. Tego chciałbym Ci życzyć” (s. 533).



Na początku grudnia 1941 roku Hosenfeld pisze do żony, zapewne w związku z przekazaną przez nią wiadomością: „To, że wziętych do niewoli Rosjan również w ojczyźnie [tj. w Rzeszy – J.H.] traktuje się tak haniebnie i doprowadza się ich niemal do śmierci głodowej jest tak obrzydliwe, nieludzkie i tak naiwnie głupie, że można się tylko głęboko zawstydzić, że do takich rzeczy może u nas dochodzić”. Dzień później zapisuje w dzienniku, komentując przemówienie Goebbelsa: „Kiedy jednak spojrzy się na panującą tu, w kraju, biedę i weźmie pod uwagę, że nie jesteśmy w stanie jej przewyciężyć, że rządymy tylko przez terror, biedę i głód, to dochodzi się do wniosku, że na dłuższą metę źle się to skończy” (s. 537).

Po przystąpieniu do wojny Stanów Zjednoczonych Hosenfeld liczy się już z klęską Niemiec. Krytycznie patrzy też na rezultat działań narodowosocjalistycznych: „Najlepsi mężczyźni zostają na placu boju, przeżywają szumowiny, osiągamy tym samym przeciwieństwo tego, co chciał osiągnąć narodowy socjalizm za pomocą swej doktryny rasowej” (s. 540).

W styczniu 1942 Hosenfeld rozprawia się w dzienniku z narodowym socjalizmem, porównując go z jakobinami i bolszewikami: „Metody narodowych socjalistów są inne, w zasadzie jednak i oni urzeczywistniają zamiar wytępienia, zniszczenia ludzi myślących inaczej. Bywa, że rozstrzeliwuje się tylu to a tylu, także rodaków, ale fakt ten jest tuszowany i zatajany przed opinią publiczną, zamyka się tych ludzi w obozach koncentracyjnych, gdzie powoli marnieją i giną” (s. 552). W następnym miesiącu w liście do syna wyklada właściwie swe credo, choć nie wydaje się, by odnosił je także do żołnierzy frontowych: „Mimo to trwam w przekonaniu, że człowiek nie ma prawa do ingerowania w życie, ani swoje, ani drugiego człowieka. A gdzie przebiegają granice? Jasno i jednoznacznie wytycza je 5. Przykazanie: Nie zabijaj!” (s. 564).

Nie brakowało Hosenfeldowi wiedzy o zbrodniach narodowego socjalizmu. W kwietniu 1942 roku notuje w dzienniku o obozie Auschwitz: „Tam gestapo zamęcza ludzi na śmierć. Chcąc szybko załatwić sprawę, wpędza się nieszczęsnych do celi gazowej i uśmierca ich gazem” (s. 581). Pisał dalej o torturach stosowanych wobec więźniów.

Wszystko to nie przeszkadza Hosenfeldowi w poczuwaniu się do obowiązków wobec Niemiec. W liście do syna w lipcu 1942 roku

wyznaje: „Zawsze, kiedy słucham komunikatów Wehrmachtu, ogarnia mnie tęsknota, aby być tam, gdzie coś można przeżyć, nie z potrzeby sensacji czy żądzy przygód, ale dlatego, że chciałbym mieć udział w wydarzeniach wojennych i wyrobić sobie pogląd na tę potężną walkę, jaka toczy się w stepach Wschodu. To niesłychane, czego nasi ludzie tam dokonują. Często nachodzi mnie obawa, czy podołamy temu olbrzymiemu zadaniu” (s. 597).

Nijak się to ma do o dwa dni późniejszych notatek w dzienniku: „Wszędzie rządzą jawny terror, strach, przemoc... Historia uczy, że tyrania zawsze trwała krótko... Obecnie trwa akcja zagłady Żydów; wprawdzie była ona celem niemieckiej administracji cywilnej, który miał być urzeczywistniony przy pomocy policji i gestapo od samego początku okupacji terenów wschodnich, ale teraz wydaje się być prowadzona radykalnie i na wielką skalę... Ale w to wszystko nie da się wierzyć, ja się przeciwko temu bronię nie tylko z troski o przyszłość naszego narodu, który kiedyś musi za tę potworność odpokutować, ale dlatego, że nie chcę uwierzyć, że Hitler czegoś takiego chce, że są Niemcy, którzy wydają takie rozkazy. Wyjaśnienie jest tylko jedno: oni są chorzy, nienormalni albo szaleni” (s. 598–599).

Tego samego dnia Hosenfeld wiadomości o Zagładzie przekazał listem swej żonie. W następnych dniach powtarzał je w zapisach swego dziennika. 25 lipca 1942 roku po raz pierwszy wyciągał z tego daleko idący wniosek: „Jeśli jest prawdą to, co opowiada się na mieście, i to przez wiarygodnych ludzi, to bycie niemieckim oficerem nie przynosi chwały, to nie można dłużej w tym uczestniczyć”. Dodaje jednak: „Ale ja nie mogę w to uwierzyć”, by podsumować swe informacje: „W każdym razie Żydzi znikają. To, w jaki sposób są eksterminowani, jest sprawą drugorzędną” (s. 601–603).

Hosenfeld nie oczekuje już niemieckiego zwycięstwa. W liście do żony na początku sierpnia 1942 roku pisze o mordowaniu Żydów i stwierdza: „Jak nisko upadliśmy – Uważam, że postępek i zwycięstwo są w warunkach panowania takich idei niemożliwe... To jest świat bez Boga, bez moralnej odpowiedzialności” (s. 607). Dziewięć dni później w dzienniku poczuwa się do współodpowiedzialności: „Co z nas za tchórze, my, którzy chcemy być lepsi, przyzwalamy na to wszystko.

Dlatego i my zostaniemy ukarani, dotknie to także nasze niewinne dzieci, bo tolerując te zbrodnie, czynimy się współwinnymi” (s. 611). Na początku września Hosenfeld zapisał w dzienniku już bardziej konkretnie, że Żydów wywozi się do Treblinki i tam morduje gazem.

Mimo wszystko trudno mu się pogodzić z perspektywą niemieckiej klęski. Notuje w dzienniku: „Wszystkie te zaatakowane, pogwałcone narody walczą o wolność, walczą, pewne swojej przewagi. Ożywia je etyczna idea, a my o co walczymy?... Narodowosocjalistyczna idea nie będzie stanowiła dla tej walki ani dostatecznej motywacji, ani nie będzie jej fundamentem moralnym. W zbyt wielkim stopniu zdradzili ją jej własni przodownicy i przywódcy, a naród niemiecki jej nie akceptuje. Jest zaledwie tolerowana, bo z dwojga złego jest tym mniejszym. To większe, to przegrać wojnę” (s. 608).

Dostrzec można psychiczne miotanie się. W drugiej połowie sierpnia Hosenfeld notuje w dzienniku: „Czy to się dobrze skończy? Nie, trzeba z tym zerwać w imię honoru wolnej jednostki ludzkiej i wolnego ludzkiego ducha. Zakłamate mordy i sztukmistrze przeinaczeń muszą zginąć i zdemaskowane muszą zostać sprawowane przez nich rządy przemocy, muszą ustąpić pola mniej skrępowanemu, szlachetnemu społecznemu działaniu” (s. 614–615). Nie ma tu jeszcze wprost zapowiedzi klęski III Rzeszy, ale jest ona w domyśle.

Trudno się jednak Hosenfeldowi z tym pogodzić. Na początku września notuje w dzienniku: „Kiedy leżę w nocy nie śpiąc, to nachodzą człowieka tak przygnębiające myśli, że można upaść na duchu i stracić wiarę w nasze zwycięstwo. Wygranie tej wojny wydaje się po prostu niemożliwe” (s. 618).

Na początku października nadal marzy o zwycięstwie Niemiec: „Niemiecki minister spraw zagranicznych naszkicował bardzo optymistyczny obraz aktualnej sytuacji. Należałoby sobie życzyć, żeby rzeczywiście tak było... W związku z rozpoczęciem akcji pomocy zimowej przemawiał Führer. Także jego przemówienie pozwala nam z ufnością patrzeć w przyszłość” (s. 629).

Kilka dni później pisze do syna, który jest w armii na froncie wschodnim: „Kiedy przyjrzeć się dokonaniom niemieckiego Wehrmachtu, jak od Morza Lodowego po afrykańską pustynię stawia czoło nie-

przyjacielowi, to jednak można być dumnym, że przynależy się do tego narodu. Z tym czy z tamtym można się nie zgadzać, ale silna więź z tym, co stanowi istotę własnego narodu, pozwala ignorować wady” (s. 630).

Od poprzednich moralnych ocen różni się wpis w dzienniku z początku grudnia 1942 roku: „Jeśli przegramy tę wojnę, to Hitler popełnił niesłychaną zbrodnię na narodzie niemieckim” (s. 641). Pod koniec tego miesiąca Hosenfeld zapisuje: „Rok 1943 źle się dla nas zapowiada. Mam jednak nadzieję, że znowu staniemy się panami sytuacji” (s. 645). W połowie stycznia 1943 roku notuje: „Im dłużej trwa wojna, tym bardziej wzrastają niepewność i zagrożenie, dlatego musimy dążyć do szybkiego rozstrzygnięcia” (s. 651).

Dziwić może, że dopiero w końcu stycznia, w związku z niemiecką akcją na Zamojszczyźnie, dochodzi do refleksji: „Trudno w to uwierzyć, ale przegrywamy wojnę i chcemy wziąć ludność cywilną jako zakładników, albo – jak uważa jeden z kolegów – to haniebne postępowanie ma doprowadzić do tego, że pogłębiać się będą przepaść i nienawiść, aż nie pozostanie nam nic innego, jak prowadzić walkę na wyniszczenie do ostatniego człowieka” (s. 653). To sformułowanie jakby przechodzi do porządku dziennego nad tym, że już od dawna wiedział o Endlösung.

14 lutego 1943 roku Hosenfeld dokonuje niejako globalnego obliczenia. „Nie sposób zrozumieć, że mogliśmy popełniać takie bestialstwa na bezbronnej ludności cywilnej, na Żydach. Często, bardzo często zastanawiam się jak to możliwe? Wyjaśnienie jest tylko jedno: ludzie, którzy byli zdolni do takich czynów, którzy wydawali rozkazy i zezwalali, aby tak się działo, stracili wszelkie poczucie moralności. Są na wskroś bezbożni, są skrajnymi egoistami i prymitywnymi materialistami. Kiedy zeszłego lata popełniano straszliwe masowe mordy na Żydach, kiedy wyrzynano kobiety i dzieci, jasno zdałem sobie sprawę z tego, że teraz przegramy tę wojnę, bo straciła swój sens uzasadniona jeszcze do tego czasu walka o swobodny dostęp do zasobów żywności i poszerzenie narodowego terytorium. Wynaturzyła się ona, stała się niepokohowaną, nieludzką, przeczącą kulturze masową rzezią, z której nikt nigdy nie zdoła wytłumaczyć się przed narodem niemieckim i którą cały naród niemiecki potępi z głębi duszy” (s. 661–662).

Dwa dni później w podobny sposób pisze do syna: „Wasze zaś ideały rozwiją się niczym widmo. Będziecie musieli stworzyć sobie zupełnie nowy świat, będziecie musieli wyrzec się wszystkiego, co zostawiliście za sobą... To niesłychane wręcz zadanie: sprawić, by nasz naród znowu cieszył się dobrą opinią. Porównanie z wojną światową [pierwszą – J.H.] nie jest tu na miejscu, bo honor zanadto został splamiony. Wcale nie musimy panować nad światem, powołanie Anglików nie jest naszym powołaniem, nam przeznaczone jest być narodem poetów i myślicieli... Pogubiły się gdzieś nasze ideały, nie ziściło się marzenie o piękniejszym kraju. Za to, że usiłowaliśmy je urzeczywistnić, podbijając obcy kraj, będziemy musieli zapłacić wielką daninę krwi” (s. 663).

W maju 1943 roku Hosenfeld pisze do żony o powstaniu w warszawskim getcie. „Rozgrywają się straszliwe sceny. Nowe, nieusuwalne piętno hańby na tych, którzy za to odpowiadają, a do tego wielka kompromitacja”. Dalej wikła się jednak w sprzeczność. „Możemy się tylko cieszyć, że my, jako Wehrmacht, nie mamy z tym nic wspólnego... Wszystkim niczym kamień ciąży na duszy odpowiedzialność za to, co się wydarzyło” (s. 682).

W następnym miesiącu, w dzienniku, nie ma już takiej ambiwalencji. „Popełniając ten straszliwy, masowy mord na Żydach przegraliśmy wojnę. Sprowadziliśmy na siebie nie dającą się zmyć hańbę, wieczną klątwę. Nie zasługujemy na jakąkolwiek łaskę, wszyscy jesteśmy współwinni. Wstydę się wychodzić na miasto, każdy Polak ma prawo spluć na nasz widok. Codziennie giną od strzałów niemieccy żołnierze, a będzie jeszcze gorzej i nie mamy prawa się na to skarżyć. Na nic innego nie zasłużyliśmy” (s. 687).

Na początku lipca 1943 roku Hosenfeld pisze do syna: „Komunizm i narodowy socjalizm, oba nie potrafiły rozwiązać problemów naszego stulecia, kiedyś sumienie świata milczało wobec okrucieństw bolszewizmu, my zaakceptowaliśmy niesprawiedliwość, jakie działały się u nas, przyglądaliśmy się, pozwalaliśmy, aby tak się działo, a i pomagaliśmy, teraz zaś nie ma już odwrotu. Kamień się toczy, z niesłychanym impetem zbliża się do najniższego punktu” (s. 697). Bodaj po raz pierwszy Hosenfeld używa tu formuły „my”. My jesteśmy winni.

Jeszcze pełniej dwa dni później notuje tę kwestię w dzienniku: „Swego czasu, kiedy naziści dochodzili do władzy, nie zrobiliśmy nic, by temu przeszkodzić. Zdradziliśmy własne ideały, ideał wolności osobistej, wolności demokratycznej i religijnej... W końcu pozwoliliśmy się wpędzić w wojnę. Odpowiadało nam, że Niemcy zostały pozbawione przedstawicielstwa narodu i pozwoliliśmy narzucić sobie pozorne przedstawicielstwo, które nie ma nic do powiedzenia. Ideałów nie można zdradzać bezkarnie. Teraz wszyscy musimy ponosić tego skutki” (s. 698).

Tym razem Hosenfeld pozostanie przy swych poglądach. Nie liczy już na niemieckie zwycięstwo, za nieuchronną uważa klęskę. Na początku grudnia 1943 roku pisze w dzienniku: „Cały nasz naród będzie musiał odpokutować za wszystko zło i nieszczęście, za wszystkie zbrodnie, które popełniliśmy. Tak wielu niewinnych trzeba będzie poświęcić, aby zmasać krwawą winę, której byliśmy sprawcami” (s. 738).

Kilka tygodni później notuje: „Myślę, że w historii ludzkości nie ma podobnego przykładu na to, by za zbrodnie popełnione przez nieliczną stosunkowo grupę osób, pokutować musiał cały naród, bo był ślepy i zbyt tchórzliwy, i zbyt niemoralny, by stawić opór zbrodniarzom... Każdy człowiek musi dziś odczuwać jako hańbę fakt, że w najmniejszym bodaj stopniu aprobował ten system” (s. 747). Ten bezosobowy wywód świadczyłby jednak o tym, że Hosenfeld wypiera ze swej pamięci własną wcześniejszą fascynację narodowym socjalizmem.

Co więcej, pogodzony jest całkowicie z przyszłą klęską. W marcu 1944 roku pisze do żony: „Wielu spośród tych, którzy wierzą dziś jeszcze w zwycięski koniec – czy wierzą nie wiem, w każdym razie mówią o tym – nadal żyje pielęgowanymi od lat i wciąż podtrzymywanymi złudzeniami, że zasługujemy na szczególne potraktowanie przez los, kosztem innych narodów. Tak objawia się obłądne wyobrażenie o narodzie wybranym, a jest to miano, do którego, skoro odmówiono go Żydom, rościmy sobie pretensje. A kiedy znikną zewnętrzny połysk i blask, i legną w gruzach imperialne plany, wówczas pryśnie sen o Wiecznej Rzeszy, który śnią ci ludzie” (s. 764). Czytelnik tej księgi nie może zapomnieć, że krytykowane tu poglądy kilka lat wcześniej nie były obce Hosenfeldowi.

Historyk, politolog, ale i psycholog, musi zadać tu sobie pytanie: Dlaczego dopiero po klęsce stalingradzkiej, kiedy Hosenfeld wyraźnie dojrzał perspektywę niemieckiej klęski, tak wyraźnie i jednoznacznie dojrzał zarazem niemiecką winę? Dlaczego dopiero wtedy potrafił zakończyć swój wewnętrzny spór między dwoma systemami wartości, kiedy w pewnym sensie stały się one zgodne? Kiedy zrozumiał, że narodowy socjalizm nie tylko w zbrodniczy sposób postępuje wobec innych narodów, ale prowadzi naród niemiecki do klęski?

Nie oznacza to deprecjacji postawy etycznej Hosenfelda, który w swej życiowej praktyce hołdował wskazaniom Dekalogu. Wskazuje jednak na siłę tradycyjnego etosu narodowego jako podstawy systemu wartości i na siłę indoktrynacji, jakiej narodowy socjalizm poddawał swych niemieckich obywateli, odwołując się do tego etosu. W konkurencji z innym tradycyjnym etosem, odwołującym się do Dekalogu i humanistycznych tradycji, prowadziło to do swego rodzaju schizofrenicznych sprzeczności w mentalności. Przypadek Hosenfelda nie był odosobniony. Pomaga zrozumieć to, co określić można jako syndrom 20 lipca, postawę spóźnionego protestu.

*Jerzy Holzer*